

Fernand Braudel, *Odnowa historii* (1950)

w: *Historia i trwanie*, przełożył Bronisław Geremek, Warszawa 1991, s.21-45

(...) Nasza epoka jest aż nazbyt bogata w katastrofy, rewolucje, zaskakujące sceny, niespodzianki. Rzeczywistość społeczna, podstawowa rzeczywistość człowieka, ukazuje się naszym oczom w nowym kształcie, a nasze stare rzemiosło historyka – czy się tego chce, czy nie – nie przestaje puszczać coraz to nowych pąków i osypywać się kwieciami w naszych rękach.... Ileż to zmian! Wszystkie symbole społeczne, lub prawie wszystkie – a wśród nich i takie, za które gotowi byliśmy wczoraj bez większej dyskusji umrzeć – pozbawione zostały treści. Pytanie tylko, czy będziemy mogli nie tylko po prostu żyć i myśleć spokojnie bez ich znaków orientacyjnych, bez świateł ich pochodni. Wszystkie pojęcia myślowe zachwiały się lub załamały. Nauka, na której my, profani, zwykliśmy opierać się nie zdając sobie nawet z tego sprawy, nauka, ta przystań i ta nowa racja istnienia XIX wieku, przekształciła się brutalnie, z dnia na dzień, aby odrodzić się do życia odmiennego, olśniewającego, lecz niestałego, zawsze w ruchu, niedostępnego. Zapewne już nigdy nie będziemy mieli czasu ani możliwości ponownego nawiązania z nią właściwego dialogu. Wszystkie nauki społeczne, a wśród nich historia, rozwijały się podobnie, w sposób mniej uderzający, ale nie mniej decydujący. Nowy świat, a więc może także nowa historia?

Naszych mistrzów z dnia wczorajszego i przedwczorajszego wspominamy przeto z czułością, ale i z pewnym brakiem szacunku. Oby było to nam wybaczone! Oto cienka książeczka Charles Victor Langlois i Charles Seignobosa: *Wstęp do badań historycznych*, ogłoszona w 1898 roku i dziś pozbawiona znaczenia, ale jeszcze niedawno, i to przez długie lata, dzieło decydujące. Zdziwiający to przystanek. Z tej odległej książki, naszpikowanej zasadami i drobiazgowymi wskazówkami, nietrudno wydobyć wizerunek historyka z początku naszego stulecia. Wyobraźcie sobie malarza, pejzażystę. Przed nim drzewa, domy, wzgórze, drogi, cały krajobraz tchnący spokojem. Tak przedstawiała się oczom historyka rzeczywistość przeszłości – rzeczywistość zweryfikowana, odkurzona, odbudowana. Nic z tego krajobrazu nie powinno ujść uwadze malarza, ani te strumyki, ani ten dym... Niczego nie powinien

pominać: w ten sposób jednak malarz zapomni o swej własnej osobie, gdyż ideałem byłoby usunąć obserwatora, jak gdyby trzeba było zaskoczyć rzeczywistość nie budząc jej lęku, jak gdyby historię, poza ramami naszych rekonstrukcji, można było uchwycić *in statu nascendi*, w stanie materiałów surowych, czystych faktów. Obserwator jest źródłem błędów, przeciwko niemu musi zwracać się czujna krytyka. (...)

Nie mam nic przeciwko krytyce dokumentów i materiałów historycznych. Umysł historyczny nie może nie być krytyczny u swych podstaw. Ale niezależnie od ostrożności, która rozumie się sama przez się, musi też uciekać się do rekonstrukcji, co Charles Siegnobos potrafił dwa czy trzy razy wyrazić ze zwykłą mu wyostrzoną inteligencją. Ale, po tylu środkach ostrożności, czy wystarczało to, aby zachować historii niezbędny jej rozmach?

Wyrazić w kilku słowach rzeczywiste zmiany, jakie zaszły w dziedzinie naszych badań, a zwłaszcza próbować zrozumieć, jak i dlaczego dokonała się ta przemiana, jest zadaniem i z góry skazanym na niepowodzenie. (...) Gdzież zatem tkwi ten prosty element, ta rzeczywista odnowa? Na pewno nie w klęsce filozofii historii, z góry i od dawna przygotowywanej, której ambicji i spiesznych konkluzji już nawet przed początkiem naszego stulecia nikt nie chciał uznać. Ani też w bankructwie historii-nauki, zaledwie zresztą zarysowanej. Nie ma nauki, twierdzono jeszcze wczoraj, jeżeli nie potrafi ona przewidywać: powinna ona być prorocza, albo w ogóle nie być... Skłonni jesteśmy dziś sądzić, że żadna nauka społeczna, z historią włącznie, nie ma charakteru proroczego, a zatem żadna z nich, wedle starych reguł gry, nie mogłaby się ubiegać o piękne miano nauki. Warto zresztą zauważyć, że proroctwa możliwe byłyby tylko wtedy, gdyby istniała w historii kontynuacja, co socjologowie, ale nie wszyscy historycy, gwałtownie poddają w wątpliwość. Po cóż jednak dyskutować o mętnym słowie nauka i o wszystkich fałszywych problemach, które są z nim związane? Nie jest to warte więcej niż podjęcie bardziej klasycznej, ale też jeszcze bardziej bezpłodnej debaty o obiektywności i subiektywności w historii; ze sporu tego nie zdołamy się uwolnić, póki pozostanie on – chyba z nawyku – domeną filozofów, póki nie będą oni śmieli zadać sobie pytania, czy najślawniejsze nauki o rzeczywistości, one także, nie są jednocześnie obiektywne i subiektywne. Jeśli o nas chodzi, to my, rezygnując bez trudu z wiary w konieczność antytezy, chętnie uwolnilibyśmy nasze zwyczajne dyskusje

o metodzie od ciężaru tego sporu. Właściwy problem historii nie kryje się w stosunku między malarzem i obrazem, ani nawet – co niektórzy mogliby uznać za zbytnie już zuchwalstwo – między obrazem a pejzażem, ale właśnie w samym pejzażu, w samym sercu życia.

Historia, tak jak życie, wydaje nam się umykającym, ruchliwym widowiskiem, na które składa się nierozdzielny splot mnóstwa problemów i które może przybierać kolejno sto różnych i sprzecznych oblicz. Jak przystąpić do tego wielowarstwowego życia, jak je rozdrobnić, tak aby móc je poddać analizie, albo przynajmniej cokolwiek z niego uchwycić? Próby dotąd podjęte mogłyby z góry odebrać nam wszelką odwagę.

I tak nie dajemy już wiary wyjaśnianiu historii przez taki czy innym czynnik dominujący. Nie ma jednostronnej historii. Nie panuje nad nią całkowicie ani konflikt ras, których ugoda lub starcie określać miałyby całą przeszłość ludzką, ani potężne rytmy życia gospodarczego, czynniki postępu lub upadku, ani stałe napięcia społeczne, ani ów rozproszony spirytualizm Rankego, dzięki któremu, w jego ujęciu, ulegają sublimacji jednostka i szeroka historia powszechna, ani panowanie techniki, ani wzrost demograficzny, ów wzrost wegetatywny, ze swymi konsekwencjami wpływającymi z opóźnieniem, na życie zbiorowości... Człowiek jest istotą znacznie bardziej złożoną. (...)

Życie, historia świata, wszystkie historie szczegółowe ukazują się naszym oczom w kształcie serii wydarzeń: mam na myśli akty zawsze dramatyczne i krótkie. Bitwa, spotkanie polityków, ważne przemówienie, list o kapitalnym znaczeniu – wszystko to są błyski historii. Zachowałem wspomnienie pewnej nocy w pobliżu Bahii, kiedy zostałem spowity przez fajerwerk świecących luccioli [tj. świetlików, robaczek świętojańskich – przyp. K. S.]; ich blade światełka rozbłyskiwały, gasły, błyszcząły na nowo, nie zdołały jednak rozświetlić mroków nocy prawdziwą jasnością. Podobnie jest z wydarzeniami: poza zasięgiem ich blasku zwycięsko panuje ciemność. (...)

Trudno jednak nie przyznać, że kronika, historia tradycyjna, historia-opowieść, tak droga Rankemu, może nam zaofiarować tylko takie ubogie obrazy ze znojnnej i pełnej trudu przeszłości ludzi. Blaski, ale bez jasności; fakty, ale odczłowieczone. Warto zauważyć, że historia-opowieść wysuwa zawsze roszczenie opisywania „tak, jak to rzeczywiście” było. Ranke głęboko wierzył w te słowa, gdy je formułował. W istocie jawi się ona jako interpretacja w sposób

skryty, jako autentyczna filozofia historii. W ujęciu tej historii-opowieści nad życiem ludzkim panują dramatyczne przypadki, panuje gra wyjątkowych jednostek, które są panami swego losu, a jeszcze bardziej naszego. Gdy zaś mówi się „historii powszechnej”, to myśli się o splocie tych wyjątkowych losów, jako że każdy bohater musi się liczyć z innym bohaterem. Wiemy wszyscy, jak zwodna to iluzja. Powiedzmy raczej, z większą dozą sprawiedliwości, że jest to wizja świata zbyt wąskiego, dobrze nam znanego, bo stale przeszukiwanego i badanego, w którym historyk z upodobaniem zbija księżęcą fortunę, nadto świata wyrwanego ze swego kontekstu. Można by w dobre wierze sądzić, że historia jest monotonną grą, stale odmienną, ale i stale podobną, tak jak tysiące kombinacji szachowych, grą, w której sytuacje są nieskończenie podobne, uczucia stale te same, pod znakiem wiecznego i bezlitosnego powrotu rzeczy.

Zadaniem, jakie trzeba właśnie podjąć, jest przekroczenie tego marginesu historii. Dotrzeć trzeba do rzeczywistości społecznych, do nich samych i dla nich samych. Mam tu na myśli wszelkie formy życia zbiorowego, systemy gospodarcze, instytucje, struktury społeczne, cywilizacje wreszcie, te przede wszystkim: dziedziny rzeczywistości, których wczorajsi historycy byli świadomi, ale które widzieli najczęściej – z wyjątkiem zadziwiających prekursorów – jako tło, rozciągnięte tylko po to, aby tłumaczyło czy też w ich intencji miało tłumaczyć czyny wyjątkowych jednostek, wokół których historyk krąży z upodobaniem.

Ogromny to błąd perspektywy i rozumowania, gdyż chce się w ten sposób powiązać, wpisać w te same ramy ruchy, które nie mają ani tego samego trwania, ani tego samego kierunku. Jedne z nich należą do czasu ludzi, naszego krótkiego czasu i spieszego życia, inne zaś do czasu społeczeństw, dla których dzień czy rok niewiele znaczą, dla których niekiedy nawet stulecie jest tylko jedną chwilą trwania. Musimy się dobrze zrozumieć: nie ma czasu społecznego o jednym i prostym biegu, lecz społeczny o tysiącu szybkości, tysiącu powolności, które nie mają niemal nic wspólnego z dziennikarskim czasem kroniki i historii tradycyjnej. Wierzę przeto w realność niezmiernie powolnej historii cywilizacji, sięgającej ich najgłębszych pokładów, ich rysów strukturalnych i geograficznych. Zapewne, cywilizacje są śmiertelne w swych najcenniejszych wykwitach; zapewne, błyszczą, a potem gasną, ażeby zakwitnąć znowu w innych formach. Ale zerwania te są bardziej od siebie

odległe w czasie, niż się często sądzi. A nade wszystko nie niszczą one wszystkiego w tym samym stopniu. Chcę przez to powiedzieć, że w określonej sferze cywilizacji zawartość społeczna może ulec dwu- czy nawet trzykrotnemu odnowieniu, i to niemal całkowitemu, nie dosięgając jednak wcale głębokich rysów struktury, które nadal będą ją wyraźnie odróżniać od sąsiednich cywilizacji. A istnieje jeszcze historia jeszcze powolniejsza niż historia cywilizacji, historia niemal nieruchoma – dzieje ludzi w ich ścisłych związkach z ziemią, która ich nosi i żywi; jest to dialog, który nie przestaje się powtarzać, który się powtarza, aby trwać, który może się zmieniać i zmienia się na powierzchni, ale ciągnie się dalej uparcie, jakby był poza zasięgiem czasu, nieczuły na jego ciosy.

Historia i nauki społeczne: długie trwanie (1958)

w : op. cit., s. 46-89

Nauki o człowieku przeżywają ogólny kryzys: uginają się pod ciężarem własnego postępu, chociażby już z racji nagromadzenia nowej wiedzy i konieczności podjęcia pracy zespołowej, która stale jeszcze czeka na właściwe ramy organizacyjne. Wszystkie te nauki, pośrednio lub bezpośrednio, bez względu na to, czy chcą tego, czy nie, odczuwają skutki postępu najbardziej dynamicznych spośród nich, ale pozostają jeszcze we władaniu zacofanej i podstępnej koncepcji humanizmu, który nie może im służyć już za właściwą ramę. Wszystkie one, mniej lub bardziej jasno zdając sobie z tego sprawę, zastanawiają się nad swoim miejscem w zadziwiającym kompleksie dawnych i nowych badań, których konieczna zbieżność daje się dziś odczuć z całą siłą.

Czy nauki o człowieku zdołają wyjść z tej trudnej sytuacji poprzez dodatkowy wysiłek uściślenia pojęć, czy też ograniczą się do wzrostu irytacji? Oto widzimy, jak podejmują one większy nawet niż dawniej wysiłek (ryzykując powrót do dawnych jałowych sporów i pozornych problemów), by określić swoje cele, swoje metody, swoją oryginalność. Oto z zapamiętaniem spierają się o granice, jakie je od dyscyplin sąsiednich dzielą lub w ogóle nie dzielą, czy też w nieznacznym stopniu. Każda z nich marzy bowiem o zamknięciu się we własnym domu.... Kilku odosobnionych uczonych próbuje organizować zbliżenia: Claude Lévi-Strauss popycha antropologię strukturalną ku metodom

lingwistyki, ku horyzontom historii „nieświadomej” i młodzieńczemu imperializmowi matematyki „jakościowej”. Zmierza ku nauce, która pod wspólną nazwą n a u k i o k o m u n i k a c j i powiązałaby antropologię, ekonomię polityczną, lingwistykę. Któż jednak jest gotów akceptować te przegrupowania i łamanie istniejących barier? Nawet geografia pod byle pretekstem rozwiodłaby się z historią!

Nie bądźmy jednak niesprawiedliwi: w tych sporach i odmowach kryje się zjawisko istotne i pożyteczne. Pragnienie określenia się w stosunku do innych rodzi z natury rzeczy nowe zainteresowania, zaprzeczając komuś znaczy bowiem znać go już dobrze. Ponadto nauki społeczne, nie zdając sobie w pełni z tego sprawy, starają się sobie wzajemnie narzucić, każda z nich zmierza do uchwycenia rzeczywistości społecznej w całości, w wymiarze „totalnym”; każda z nich wkracza na teren dyscyplin sąsiednich sądząc, że pozostaje u siebie. Ekonomia odkrywa oblegając ją socjologię, historia – może najmniej ustrukturowana ze wszystkich nauk o człowieku – przyjmuje wszystkie lekcje płynące ku niej z rozlicznych obszarów sąsiednich i stara się je przejąć i zastosować. Tak więc mimo opory, sprzeciwu, ignorowanie, zarysowuje się z wolna „wspólny rynek” nauk o człowieku: w nadchodzących latach warto w tym kierunku skierować nasze wysiłki, nawet jeżeli miałyby się później okazać, że pożyteczne będzie dla poszczególnych dyscyplin odzyskanie na pewien czas odrębności i obranie własnej drogi. (...)

I. Historia i trwania

Wszelkie badanie historyczne rozkłada czas miniony i wybiera jedną z rzeczywistości chronologicznych, wedle mniej czy bardziej świadomych upodobań historyka. Historia tradycyjna, wrażliwa na czas krótki, na losy jednostki, na wydarzenie, przyzwyczaiła nas od dawna do swojej spiesznej, dramatycznej, zadyszanej opowieści.

Nowa historia ekonomiczna i społeczna na pierwszym planie swoich badań umieszcza oscylację cykliczną i nacisk kładzie na jej trwanie: pociąga ją ułuda i rzeczywistość cyklicznych wzrostów i spadków cen. W ten sposób istnieje dzisiaj obok tradycyjnej opowieści historycznej także opowieść koniunktury, która traktuje o czasie posługując się szerokimi pasmami: dziesięcioleciaми, dwudziestoleciami, pięćdziesięcioleciaми.

Daleko poza ramami tej ostatniej opowieści leży historia o jeszcze głębszym oddechu, operująca miarą stuleci: historia długiego, bardzo długiego trwania. Formułę tę, dobrą czy złą, przyjąłem dla określenia przeciwieństwa tego, co François Simiand, jako jeden z pierwszych po Paul Lacombe, ochrzcił mianem historii wydarzeniowej. (...)

Słowa te nie są na pewno w pełni ściśle i jasne. Tak właśnie jest w wypadku słowa „wydarzenie”. Jeśli chodzi o mnie, to pragnąłbym ograniczyć je do wymiaru krótkotrwałego, uwięzić je w nim: wydarzenie ma charakter wybuchowy, jest „dźwięczną nowiną”, jak mawiano w XVI wieku. Swoim przesadnym dymem wypełnia świadomość współczesnych, ale nie trwa wcale, zaledwie dostrzec się daje jego płomień.

Filozofowie zapewne powiedzieliby, że w ten sposób pozbawiamy to słowo w dużej mierze jego sensu. Wydarzenie może przecież dźwigać w sobie szereg znaczeń lub przekazów. Daje niekiedy świadectwo ruchom bardzo głębokim i poprzez grę, czasem pozorną, „przyczyn” i „skutków”, tak drogą wczorajszym historykom, przywłaszcza sobie wymiar czasowy znacznie większy od swego własnego trwania. (...)

Dla większej jasności, zamiast mówić o warstwie wydarzeniowej, możemy przeto mówić o czasie krótkim, na miarę jednostek, codziennego życia, naszych iluzji, krótkich chwil, w których zdajemy sobie sprawę z otaczającej nas rzeczywistości – o czasie właściwym dla kronikarza i dziennikarza. (...)

Przy pierwszym zetknięciu przeszłość jawi się jako mnóstwo drobnych faktów, z których jedne są efektowne, inne zaś potoczne i powtarzające się w nieskończoność; one właśnie stanowią codzienny łup mikrosocjologii czy socjometrii w odniesieniu do teraźniejszości (istnieje także mikrohistoria). Ta masa faktów nie stanowi jednak całej rzeczywistości, całej materii historii, która może być terenem refleksji naukowej. Nauka społeczna żywi niemal wstręt do wydarzenia. Nie bez racji: czas krótki jest najbardziej kapryśną i najbardziej mylącą z form trwania.

Stąd właśnie wynika, że niektórzy historycy żywią nieufność do historii wydarzeniowej, przy czym etykietkę tę zwykle się odnosić do historii politycznej. Nie jest to w pełni ściśle, gdyż historia polityczna nie zawsze jest historią wydarzeniową i wcale nie musi nią być. Faktem jest jednak, że jeżeli pominąć

sztuczne obrazy, niemal bez wymiaru czasowego, które przecinają tok opowiadania¹, jeżeli pominąć pewne wyjaśnienia sięgające z konieczności do długiego wymiaru czasowego, to stwierdzić można, że dziejopisarstwo ostatnich stu lat, niemal wyłącznie zajmujące się dziejami politycznymi i skoncentrowane na dramacie „wielkich wydarzeń”, pozostawało w ramach czasu krótkiego, do niego ograniczało swój przedmiot badań. (...)

Świeżej jeszcze daty zerwanie z tradycyjnymi formami dziewiętnastowiecznej historiografii nie stanowiło całkowitego zerwania z czasem krótkim. Działo ono, jak wiadomo, na korzyść historii ekonomicznej i społecznej, z uszczerbkiem dla historii politycznej. Wynikał z tego przewrót i niewątpliwa odnowa, zmiana metody, przemieszczenia w zasadniczych zainteresowaniach badawczych wraz z wkroczeniem na scenę historii kwantytatywnej, która na pewno nie powiedziała jeszcze swojego ostatniego słowa.

Nade wszystko nastąpiła jednak przemiana tradycyjnego czasu historycznego. Wczoraj historykowi politycznemu dzień czy rok wydawać się mogły dobrymi miarami. Czas był sumą dni. A krzywa ruchu cen, progresja demograficzna, ruch płac, zmiany stopy zysku, badania (bardziej projektowane niż realizowane) produkcji, pogłębiona analiza obrotu towarowego i pieniężnego wymagają miar znacznie szerszych.

Pojawia się nowy sposób opowiadania historycznego, który przedstawia pasmo koniunktury, cyklu czy nawet „intercyklu” i do naszego wyboru stawia dziesiątki lat, ćwierćwiecze, czy też, jako wymiar skrajny, półwiecze w klasycznym cyklu Kondratieva. (...)

Poza cyklami i intercyklami istnieje także to, co ekonomiści – dalecy zresztą od podjęcia badań systematycznych – określają mianem tendencji sekularnej. Tylko niewielu ekonomistów interesuje się nią naprawdę, ich rozważania o kryzysach strukturalnych, nie przeszedłszy próby weryfikacji historycznej, mają charakter wstępnych hipotez, opierających się na wątlej bazie dowodowej przeszłości jeszcze świeżej, sięgającej do 1929 roku, a najwyżej – 1870 roku. Hipotezy te stanowią jednak pożyteczny wstęp do historii długiego trwania. Stanowią pierwszy klucz.

¹ „Europa w 1500 r.”, „Świat w 1880 r.”, „Niemcy u progu Reformacji...”

Drugim kluczem, znacznie bardziej użytecznym, jest słowo s t r u k u r a. Dobrze czy źle, ma ono w swym władaniu problemy długiego trwania. Obserwatorzy rzeczywistości społecznej przez s t r u k u r ę rozumieć zwykli pewną organizację, spójność, dość ściśle stosunki między rzeczywistością a masą społeczną. Dla nas, historyków, struktura jest zbiorem, architekturą, ale bardziej jeszcze rzeczywistością, która czas bardzo długi unosi na swoich falach i zużywa w stopniu niewielkim. Pewne struktury, żyjąc bardzo długo, stają się elementami stałymi dla nieskończonej liczby pokoleń; przepelniają historię, utrudniają jej upływ, a zatem i kierują nią. Inne kruszą się szybciej. Wszystkie jednak są zarazem podporami i przeszkodami. Jako przeszkody odgrywają rolę granic, otoczek, których człowiek i jego doświadczenie nie mogą przekroczyć. Wystarczy pomyśleć o trudnościach, jakie napotyka wszelka próba przełamania pewnych ram geograficznych, pewnych wymogów biologicznych, pewnych granic wydajności pracy, produktywności, czy nawet takich czy innych wymogów życia duchowego: ramy myślenia są także więzieniami długiego trwania.

Jako najbardziej przystępny przykład służyć może problem wymogów środowiska geograficznego. Człowiek w ciągu długich stuleci jest więźniem klimatów, typów roślinności, fauny, upraw, powoli ukształtowanej równowagi, od której nie może odejść bez ryzyka, iż zarysuje się cały gmach. Proszę pomyśleć o miejscu, jakie zajmują okresowe wędrówki stad dla wypasu w życiu ludności góralskiej, o trwałości pewnych sektorów życia morskiego, zakorzenionych w określonych, szczególnie korzystnych punktach linii brzegowej, proszę pomyśleć o trwałym umiejscowieniu miast, uporczywości szlaków lądowych i tras morskich, o zadziwiającej stałości ram geograficznych, w jakich rozwijają się cywilizacje.

Podobne trwałości, czy też przeżytki spotykamy także w ogromnej dziedzinie kulturowej. Wspaniała książka Ernesta Roberta Curtiusa stanowi studium systemu kulturowego, który przedłuża łacińską cywilizację późnego cesarstwa, przez swoje wybory dokonując jej deformacji, cywilizację, która sama ugina się pod ciężarem ogromnego dziedzictwa: aż po XIII i XIV wiek, do czasu narodzin literatur narodowych, kultura elit intelektualnych żyła tymi samymi tematami, tymi samymi porównaniami, tymi samymi stereotypami i oklepanymi banałami. W analogicznej linii myślowej Lucien Febvre w studium o

Rabelais'm i problemie niewiary w XVI wieku próbował zbadać i ustalić narzędzia myśli francuskiej w epoce Rabelais'go, ten zbiór koncepcji, który znacznie przed Rabelais'm i na długo jeszcze po nim rządził sztuką życia, sztuką myślenia i sztuką wierzenia, z góry i twardo określając granice przygody intelektualnej nawet najbardziej swobodnych umysłów. (,,,) Historia nauki zna także systemy, które mimo niedoskonałość swoich wyjaśnień trwały z reguły przez całe wieki. Odrzucane one były zwykle po długim czasie posługiwania się nimi. System arystotelesowski przetrwał niemal bez protestu aż do czasów Galileusza, Kartezjusza i Newtona; wówczas to ustępuje przed systemem do głębi zgeometryzowanym, który z kolei runie w obliczu rewolucji, jaką przyniosła myśl Einsteina. (...)

Wśród rozlicznych czasów historii długie trwanie ukazuje się jako osobistość uciążliwa, skomplikowana, często zupełnie nowa. Umieszczenie jej w centrum naszego rzemiosła nie będzie jedną ze zwykłych gier, prostym rozszerzeniem pola naszych badań i zainteresowań. Nie chodzi też o pewien wybór, z którego korzyść ciągnąłby tylko historyk. Przyjmując długie trwanie historyk godzi się na zasadniczą zmianę stylu, postawy, sposobu myślenia i na nowe pojmowanie rzeczywistości społecznej. Godzi się na badanie czasu w trybie zwolnionym, niemal na granicy ruchu. W tej właśnie, a nie innej płaszczyźnie badań – do czego jeszcze powrócę – wolno historykowi wyzwolić się z więzów twardego czasu historii, opuścić go, potem znowu do niego powrócić, ale już z innym spojrzeniem, z innymi niepokojami, z innymi pytaniami. W każdym razie historię jako całość można na nowo przemyśleć właśnie w stosunku do tych pokładów historii powolnej. Gdy te pokłady przyjmie się za fundament, wówczas wszystkie piętra, tysiące pięter, tysiące wybuchów czasu historii dają się zrozumieć poprzez tę głębie, poprzez tę na poły nieruchomość; wokół niej wszystko grawituje. (...)

III Problemy komunikacji i matematyka społeczna

(...) Przyjmijmy, że na pewnym poziomie istnieje warstwa nieświadomej rzeczywistości społecznej. Przyjmijmy ponadto – przynajmniej prowizorycznie – że owa nieświadoma rzeczywistość jest naukowo bogatsza niż błyszcząca powierzchnia, do której przywykły nasze oczy: naukowo bogatsza, to znaczy prostsza, łatwiejsza w badaniu – jeżeli nawet samo jej odkrycie jest trudne.

Między jasną powierzchnią i ciemnymi głębiami – między gwarem a ciszą – start badacza jest trudny i niepewny. Zauważmy jednak, że historia „nieświadoma”, dziedzina tylko na poły przynależna do czasu koniunkturalnego, a nade wszystko do czasu strukturalnego, jest bardzo często łatwiej postrzegana, niż zwykło się to twierdzić. Każdy z nas odczuwa wszak poza swym własnym życiem ciężar historii zbiorowej, której potęgę i rytm, co prawda, poznaje lepiej niż prawa i kierunek. A świadomość ta wcale nie jest świeżej daty (wspomnieć tu można o historii gospodarczej), chociaż istotnie staje się ona w chwili obecnej coraz żywsza. Przewrót – gdyż był to przewrót umysłowy – polegał na frontalnym ataku na ten obszar zaciemniony, na przyznaniu mu coraz szerszego miejsca obok – czy nawet kosztem – warstwy wydarzeniowej.

Na tej drodze, na której historia nie jest sama (przeciwnie, w dziedzinie tej idzie tylko śladami nowych nauk społecznych i adaptuje na swój użytek ich koncepcje badawcze), wykształciły się nowe narzędzia poznania i badania: mniej czy bardziej udoskonalone, niekiedy jeszcze rzemieślnicze – m o d e l e. Są one hipotezami, systemami wyjaśniającymi, solidnie powiązаныmi na wzór równania lub funkcji: coś równa się lub określa coś innego. Określony element rzeczywistości nie pojawia się bez innego, a między nimi istnieją ściśle i trwałe stosunki. (...)

Dla większej jasności zatrzymajmy się na przykładzie modeli historycznych, to znaczy skonstruowanych przez historyków, modeli dość prymitywnych, z gruba ciosanych, rzadko odpowiadających prawdziwym rygorom naukowym i nigdy nie troszczących się o otwarcie perspektyw ku rewolucyjnemu językowi matematycznemu – a jednak swego rodzaju modeli.

Wspominaliśmy już poprzednio o kapitalizmie handlowym XIV-XVIII wieku: jest to jeden z modeli, jaki można wydobyć z dzieła Marksa. Odnosi się on w pełni tylko do pewnej określonej rodziny społeczeństw, w określonym czasie, chociaż pozostawia jednak otwarte drzwi ku wszelkim ekstrapolacjom. (...)

Ale możliwości trwania wszystkich tych modeli są krótkie, zwłaszcza w porównaniu z modelem przedstawionym przez młodego historyka-socjologa amerykańskiego, Sigmunda Diamona. Zastanowił go podwójny język używany przez klasę panującą wielkich finansistów amerykańskich, współczesnych Pierpontowi Morganowi: język na użytek wewnętrzny tej klasy i język

zewnątrzny (ten ostatni ma w istocie rzeczy charakter kierowanego do opinii publicznej dyskursu, w którym przedstawia się sukces finansisty jako typowy triumf *self-made-mana* i jako warunek pomyślności narodu). W istnieniu tego podwójnego języka dostrzega typową reakcję każdej klasy panującej, która czuje, że jej prestiż został naruszony, a przywileje są zagrożone; aby się zamaskować, musi zatem dążyć do utożsamienia swego losu z losem Państwa lub Narodu, do uznania jej własnych interesów za interes publiczny. (...)